

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Administracji, 8, rue Vaugirard,
w Bibliotece Polskiej, 6, quai d'Orléans.

Cena pnumeraty :

Na rok. fr. 20
Na pół roku. fr. 10
Na trzy miesiące. fr. 5

Dziennik wychodzi co tydzień,
w **SOBOTE**.

N^o 48.

DNIA 28 LISTOPADA 1857 ROKU.

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Księgarni Polskiej, 20, rue de
Seine-St-Germain,
w Księgarni A. Francka, 67, rue de
Richelieu.

(Wszelkie zgłoszenia dotyczące się
niniejszego pisma, tudzież przesy-
łanie reklamacyj i listów, mają być
adressowane : à M. I. Szczepanowski,
8, rue Vaugirard, à Paris).

W Niedzielę, w rocznicę 29^o Listopada, od-
będzie się publiczne posiedzenie Towarzystwa
Historycznego w Bibliotece Polskiej, o godzinie
2^{ej} z południa.

PRZEGLĄD PISMIENICTWA

Z niemalém zadowoleniem czytaliśmy niedawno w na-
szych dziennikach wiadomość, że p. Lenartowicz pracuje
nad poematem większych rozmiarów i poważniejszej tre-
ści. Słusznie czy nie słusznie, widzieliśmy w tem do-
wód, że autor *Lirenki* wyższe od swoich bezwzględnych
chwalców ma pojęcie o sztuce, i zdrowiej, od bieżącej kry-
tyki, ocenia nasze istotne potrzeby. Rodzaj poezji, jaki
p. Lenartowicz dotychczas obrabiał, miał bezwątpienia
tak rzetelne zalety, jak i rzeczywiste uprawnienie w pe-
wnej fazie naszego życia; ale nie byłoby to korzystnem
dla przyszłości pisarza, gdyby w tym jednym zakresie swój
talent nazawsze zacieśnił, ani by to przede wszystkim
było znakiem politycznego i moralnego zdrowia naszego
narodu, gdyby ten innego nie zażądał barda, « zakonnik
rycerz innej nie chciał piosenki ». Ktokolwiek rzuci okiem
na dzieje powszechnej literatury, ten łatwo odkryje to cie-
kawość, że po wielkich moralnych lub politycznych
katastrofach zwykła zawsze zakwitać poezja opisowa i
sentymentalna, sielankowa i elegijna, i tak długo niwe-
twórczości zalegać, póki przywrocony do dawnej siły i
energii organizm społeczny, silniejszych też i energiczniej-
szych nie zażąda i nie obudzi dzieł, tak w sferze czynu
jak słowa. A jeśli z tego historycznego stanowiska zechce-
my się zapatrywać na autora o którym mowa, będziemy
mieli równe prawo oświadczyć się z uznaniem dla jego
przeszłości, jak też stać się bardziej wymagającymi na
przyszłość. Zjawienie się takiego poety, jak p. Lenarto-
wicz, po strasznych naszych wstrząśnieniach w roku 1846
i 1848, było faktem zupełnie normalnym, rzeklibyśmy
prawie koniecznym, a wziętość, którą prędko zyskał
w kraju, łatwo tym sposobem da się wytłomaczyć. Tylą
nadziejami i zawodami wycieńczony duch narodu, rad
znalazł odpocznienie i ukojenie w tych słodkich, czułych
dźwiękach sielankowej nót; uśmichała mu się dzie-
wczyną, która « przy tym niepokoju » myślała o powoju,
co się plecie po krzakach i o lichej ptaszynie, co śpiewa
w matuli ogrodzie, i z pewnem uczuciem takowej zazdro-
ści witał tę *sierotę*, której « nic nie żał na świecie », któ-
rą żał jeno tej łaski, gdzie fiałki i dzwonki, tego słońca
w zachodzie i fujarki wierzbowej.... Gdy przedtem każda
pieśń Wajdeloty « mordy, pożogi śpiewać lubiła i nam zo-
stawiała chwałę i zgryzoty », jakże miło było teraz, w na-
szem zniedożeniu, usłyszeć pieśń zupełnie inną, spokojną,
kojącą, która święciła *maty świętek* wiejskiego zacisza i
niekrwawe ofiary paliła na ognisku rodzinnego zakątku i

zaścianka!.... « Po przewodniej niedzieli — opowiada o
naszym wielkim Czarneckim Pasek — zachorował woje-
woda niebezpiecznie; wszyscy zlekliśmy się bardzo; po-
sprowadzano różnych lekarzy, którzy po naradzie rozka-
zali, żeby mu muzyka grała ciągle. Grano tedy zawsze
w drugim pokoju na *cichych* narzędziach — i taki przy-
szedł do zdrowia »... Otóż i naród polski, ciężką niemocą
złożony, w stanie zupełnej prostracyi po owych krwa-
wych katastrofach, znajdował, jak niegdyś jego wielki
hetman, pewną ulgę w tej *cichy* muzyce, którą mu ode-
grywał lirnik z Mazowsza, i która, jeśli czasem usypiała —
tę właśnie była pożądalszą. Miłe te wierszyki, objawia-
jące się raz poraz w pewnych odstępach, w dziennikach i
pismach peryodycznych, zawiewały nas zawsze jakby
lubą wonią lasów, zapachem świeżego żyniego chleba,
ochładzały nam palące czoła lekkim wietrzykiem, co ugina
kłosy pól naszych : było w nich wiele tkliwości, wiele
czystości, dużo i oryginalności. Wprawdzie ta oryginal-
ność, zbyt powtarzana, przybierała nieraz charakter ma-
niery; wprawdzie ta tkliwość, przez bardzo blizką a czę-
stą i mutacyą, przechodziła w ekliwiość, a czystość formy
zdradzała tu i owdzie pewną czczość myśli : razem szcze-
gólniej zebrane, te melodye monokordu, okazały się mo-
notonnemi; bławatki, stokrotki i bratki, które cieszyły
oko, co je niespodzianie i zrzadka wśród pól odkrywało,
w jeden pęk uwite, wydały się dziwnie blade, wiecznie te
same... Poznałże się na tem niebezpieczeństwie lirnik i
dlatego umyślił innej sobie szukać drogi? Alboż może
tylko za samym i naturalnym sercem poszedł popędem, gdy
odtąd Dobrego Pasterza i Świętego Rybitwę przede wszy-
stkiem opiewać postanowił i jak dawniej *polską ziemię*,
tak potem niebieską krainę zaczął podawać w *obrazkach*?
To pewna w każdym razie, że jeśli temat był zmieniony,
nóta pozostała ta sama; że wyżej czy niżej nastrojona, je-
dna wciąż zawsze dźwięczyła struna. P. Lenartowicz rzu-
cił się w poezję religijną, ale nie przestał być tem sa-
mym pasterskim poetą. Dusza jego wielbiła Pana — na
wierzbowej fletni; na niebo jak na ziemię patrzył wciąż
przez odwrotną stronę poetycznej lunety, stronę ładną i
składną, ale zdrobniałą. *Zachwycona*, *Błogostawiona*,
Fragment o Apostołach były zawsze w gruncie sielankami,
tylko że seraficznymi, że zamiast mazowieckich, widzie-
liśmy tu w miniaturze tych « kmieci, którzy siedzą u Boga
w wiecu ». Te niebieskie idylle miały te same, co dawniej-
sze ziemskie, zalety i wady; tylko że dla zdrowego uczu-
cia wady tu jeszcze musiały się stać przykrejszemi. *Je
voudrais parfois un loup dans cette bergerie*, powiedział,
jeśli się nie mylimy, Scarron o sławnych sielankach pani
Deshoulières; i od takiego życzenia nie byliśmy i my czę-
sem dalecy na widok tych owczarni pana Lenartowicza,
świeckich czy świętych... W religijnych *obrazkach* maniera
była jeszcze bardziej rażąca; poeta złościł Bożą mękę, przy-
strajał w kwiaty Golgotę, a gdy mu niedawno jeden ze spó-
żawodników wyrzucił, że ławi się « aż w najświętszą cier-
niową Koronę » — to w tym zarzucie było tyle przynajmniej
istotnej prawdy, ile może osobistej niechęci. Ze krytyka

wszystko chwaliła, wszystkiemu przyklaskiwała i najlżejszego nie robiła zastrzeżenia, to wszystko smutniejsze jeszcze niż o estetycznym dacie świadectwo, o naszym etycznym osłabieniu. Cokolwiek bądź, czas, czas już wielki, aby naród się otrząsł wreszcie z tej elegijnej bezwładności, która podobnego rodzaju poezją czyni mu nad wszystkie inne pożądania; czas aby z tego łzawego i sentymentalnego wyszedł usposobienia, i o jakich poważniejszych i godniejszych pomysłach trudach i dziełach. Ta *tęga* (że użyjem ulubionego przez naszego autora, wielkopolskiego wyrazu na oznaczenie tęsknoty) nie jest tęgością ducha; te niewieście tony nie budzą męskiego hartu, ani do męznych nie prowadzą czynów. Czas, byśmy inną zażądali pieśń. A jeśli sam piewca mazowiecki da nam basło do takiej zbawiennej a koniecznej reakcji; jeśli jeden z pierwszych się pozna na potrzebach obecnej chwili i podniosłymi twórcami wyprzedzi wyższe wymagania narodu; jeśli, nie czekając niechybnego przedzój czy później upomnienia publicznego głosu, sam sobie zawczasu powie to wielkie słowo Szekspira, że « to nie świat do bawienia się w cacka » — wtedy tém lepiej! Tém lepiej dla nas, tém lepiej dla niego! Dowiedzie tém, że uczucie obywatela w nim silniejsze od instynktów artysty, że nad łączność pracy przenosi jej znacność, i okaże się pisarzem, który umie zapanować nad własnym duchem i własnym usposobieniem, i którego sumienia nie zagłuszają łatwe, a tém samém i przemijające oklaski.

Wszakże, niejedna obawa mieszała się do tego uczucia zadowolenia, i daleko słabszymi od naszych życzeń były nasze w tej mierze nadzieje. Jeśli już wogóle wielkiej mogło ulegać wątpliwości, czy też skutek odpowie zamiarowi, czy też p. Lenartowicz potrafi przezwyciężyć swoje naturę i do wyższej i do poważniejszej wznieść się kreacji, czy mu się uda flet lesbijski zamienić na alcejski bardon i plastycznego pomysłu nie roztopić we łzach i błękicie: to obrany przezeń przedmiot bardziej jeszcze dla nas zagadkowym czynił ostateczne powodzenie. Temat *Gładyatorów* kazał się nam domyślać, że poeta dotknie niezawodnie struny słowiańskiej; równie też było do przewidzenia, że rzecz będzie usnuta na tle klasycznej starożytności: pod jednym zaś jak pod drugim względem, mieliśmy ważne przyczyny do niepokoju i nieufności. Kwestya słowiańska, w obecnych szczególniejszych czasach, jest jedną z najdrażliwszych, najzawilszych i najmniej bezpieczniejszych, o jakie tylko potrafić może dusza Polaka. Dla jasnego i wszechstronnego jej orzeczenia, dla dotknięcia jej tylko w sposób, któryby nie obraził sumienia polskiego, uczucia naszych obowiązków i zadań, logiki wreszcie dziejów i tajnych praw Opatrzności, potrzeba najobszerniejszego a trzeźwego poglądu na sprawy świata, na sprawy jego polityczne, moralne, religijne, potrzeba najwyższego sądu o siłach i sprężynach kierujących naszą cywilizacją, umysłu nakoniec zarówno wolnego od chwilowych i choćby najsluszniejszych niechęci i żalów, jak od uprzedzeń zarozumiałej historyzofii i omamień sentymentalnej idealności; potrzeba jednemu słowem wielu rzadkich przymiotów, których w naszym lirniku ani przypuszczać, ani takowych nawet po nim żądać nie mieliśmy prawa; przymioty zaś które w nim znamy: artystyczna wrażliwość, sentymentalna potulność, nerwowa miękkość i czułość, które mogą być nie bez pewnego uroku, ale które żadnego silnego nie dają punktu oparcia, łatwość do uniesienia i zaczarowania się i ta skłonność do cenięcia tylko pozornych i malowniczych stron życia, z lekceważeniem, z niedomyślaniem się nawet rzeczywistych — wszystkie to jego właściwości, które tak dobrze wolno nazwać zaletami jak wadami, najmniej zdawały się nam go uzdalniać do należytego postawienia wielkiego problemu. A niemniejsem także były nasze obawy o plastyczną stronę zadania, o sposób, w jaki poeta zrozumie i odda świat starożytny. Jak większa część, niestety, naszych nowszych pisarzy, tak i autor *Lirenki* nie zaprawił swego smaku i swojej wiedzy na nieśmiertelnych dziełach, które nam zostawili Grecy i Rzymianie, i wielka klasyczność

została dla niego księgą z siedmiu pieczęciami. Jeśli zresztą jest jakie usposobienie, instynktowo myśli Helady i Romy przeciwne, jej wręcz antypatyczne, dla niej zewsząd zamknięte, to niezawodnie to, które w każdym wierszu i w każdym uczuciu naszego lirnika przebija. Przy takiej zaś wyraźnej niezgodności natury, a niezaprzeczonym w dodatku braku odpowiedniej kultury, wszelkie powodzenie w tej sferze mogłoby tylko być dziełem cudu; a do wiary w cud podobny nie upoważniała nas w każdym razie uczyniona już dawniej przez autora w tym rodzaju próba: mamy tu na myśli ów *monolog Tyrteusza*, w którym p. Lenartowicz przed kilkoma laty, najnaiwniej w świecie, rysy z ostatnich dni Pompei przeniósł w czasy drugiej wojny messenijskiej, i prawił tam o ruinach królewskiego pałacu, o walącej się *bazylice*, o Odeonie, o palisadach ze złota i « łaźniach, gdzie ciała swe wonnościami namaszczała » — monolog, o którym krytyk poznański trafnie niegdyś wyrzekł, że w nim nie ma ani jednego słowa, któreby mógł powiedzieć prawdziwy Tyrteusz....

Długo i głośno zapowiadany utwór, mamy wreszcie teraz przed sobą (*) i jesteśmy w stanie sprawdzić nasze widzenia i przewidywania. Powiedzmyż przedewszystkiem, że *Gładyatorowie* nie są wcale poematem większych rozmiarów, jak to z doniesień w dziennikach wnosić można było; nowa publikacja p. Lenartowicza jest małym obrazkiem, objętości pięciuset wierszów. Nie robimy mu z tego bynajmniej zarzutu; chcemy tylko tém zastrzeżeniem właściwą dać miarę całej sprawy i uchronić przy sposobności naszych czytelników od zawodu, któregośmy sami doznali. Bolesniej nierównie dotknął nas zawód innego rodzaju, z którym spotkaliśmy się odrazu i na samej okładce broszurki, i o którym przemilczeć nie zdaje się nam właściwem. Jedną z dobrych stron autora *Lirenki* dotychczas była skromność i bezpretensyjność. P. Lenartowicz nie miał zwyczaju przybierać postawy Tytana, jak to niestety w większej części czynili młodzi jego u nas współwrodzicy; nie głosił się on milionem, nie wyrzekał na świat, nie żalił się na ludzi, nie wyzywał przeznaczenia i nie zapowiadał « pieśni, o której i Bóg nie śni ». Lirnik wciąż dotąd nocił naiwnie i bez żadnych uroszczeń, był « jak ta licha ptaszyna, co w wieczornym chłodzie, śpiewa sobie na kalinie w matuli ogrodzie » i ujmował wielce tą prostotą, która wgruncie była też i najlepszą rachubą. Ale na czele *Gładyatorów*, i dwa razy na dwóch tytułach poemaciku, położył autor *molto*, które w rażąco i smutny bardzo sposób odbija od dawnego jego obyczaju i trybu, i w którym, wyrazami Kassandry z *Odprawy Posłów Kochanowskiego*, wyrzuca « srogiemu Apollinowi, że mu wieszczego dawasy ducha, nie dał wagi w słowiech, ale wszystkie jego pieśni na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej wiary, niż baśni próżne i sny znikome »... Z ręką na sercu! — p. Lenartowicz do podobnych żalów nie ma najmniejszego prawa; autor *Błogostawionej* na obojętność i oziębłość ludzi, uskarżać się naprawdę nie powinien! Wziętość jego w kraju jest wielka i powszechna, uznania i holdy zewsząd go otaczają, a krytyka nawet ma same dla niego dotąd tylko poklaski. Porównywanie zaś siebie do Kassandry jest czémś, czego nazwać nie chcemy, bo nie możemy na prędce znaleźć stosownego a zarazem łagodnego wyrazu. P. Lenartowicz żadnej jeszcze żywotnej prawdy nie objawił narodowi, « żadnych nie przeczuł zdarzeń, żadnych ran ludzkości nie wziął w swoje pierś magnetycznie — on sobie tylko wciąż piał idyllicznie! Jakżeby więc dopiero odzywać się miał prawo wielcy mistrzowie Wallenroda i Ksiąg Pielgrzymstwa, Nieboskiej Komedyi i Psalmu dobrej woli? A jednak, i ci synowie słońca nie pozwalali sobie skarg podobnych; na własnej pierś krwawili pięści, przeciwko światu ich nie wznosili!... Jeśli tego rodzaju ma być przemiana mazowieckiego pieśniarza, to możemy go tylko błagać, aby tak wielkiego sobie nie zadawał trudu, to możemy sobie tylko

(*) *Gładyatorowie*, wiersz Teofila Lenartowicza. Paryż, E. Dentu 1897 r., in-8.

żyć, aby czem prędzej wrócił do swoich rozmów ze słowikiem, do dziewczyny i kaliny, i do swych świętych pastuszków. Bo wolimy już na trzy zbytki ocukrzony pienia czułych kmiotków, niż gorsząca gorzyc proroczych samosłańców i samozwańców; bo wolimy już mdłe dumki, niżeli żrącą dumę!

Daleko słuszniej podobno, autor *Gladiatorów* mógłby wyrzucić Apollinowi, że mu zamknął ten Olimp starożytny, w którym piękność grecko-rzymska w całym swym zasiadła majestacie, że mu odmówił daru zrozumienia antyki i żadnego mu nie udzielił zmysłu do poznania i odtworzenia klasycznego świata! P. Lenartowicz pod tym względem wszystkie nasze urzeczywistnił obawy i niewielki uczynił postęp od czasów swego *Tyrteusza*. Postarał się teraz wprawdzie trochę pilniej o pewne szczegóły, umyślił swą poetyczną tkankę przedzierzgnąć łacińskimi wyrazami, w przypiskach następnie objaśnionymi, i w tym celu przerzucił jedną i drugą książkę... Ale pierwszy rzut oka wystarcza tu do przekonania, że te drobne ulamki ułomnej wiedzy są nabyte *ad hoc* i dorywczo, że nie są rezultatem żadnych poważniejszych studiów, żadnego głębszego przejęcia się całością przedmiotu. Nie myślimy tu dać spisu wszystkich materialnych *erratów*; pozwolimy sobie tylko wytknąć kilka na wyrwyki wziętych historycznych i archeologicznych nawiązań. « Powstanie Spartakusa z gladiatorami, powiada nasz autor, było tem dla Rzymu, czem śmierć Karola Sztuarta i Ludwika Capeta (*sic!*) dla powagi władzy w Anglii i Francji; od owego czasu (*sic!*) znika wyobrażenie o sile nieprzypartej Rzymu, i ludy ośmielają się na nieśmiertelną ».... Omijamy całą niestosowność wyrażenia, « Ludwika Capeta », żywcem z trybunału rewolucyjnego wziętego (ma to zapewne służyć za *certifikat cywilizmu!*); puszczamy mimo także całą niedorzeczność « pomysłu do dziejów » o Anglii, kiedy wszyscy przecież wiemy, że właśnie od śmierci Sztuarta i od rewolucji 1688, powaga władzy i uszanowanie dla tronu doszły w Wielkiej Brytanii do szczytu nieznanego nigdy przedtem i podziś dzień trwają: trzymajmy się tylko historii rzymskiej i Spartaka. Mógłby kto doprawdy podejrzewać, że pan Lenartowicz tego sławnego gladiatora zna tylko z posagu Foyatiera w tuleryjskim ogrodzie: bo jakżeby inaczej wpadł na myśl datowania od niego epoki upadku władzy Rzymu nad światem?.... Spartakus sam tak mało w ten upadek wierzył, że nawet po zwycięstwie nad Warynem marzył tylko o schronieniu się z towarzyszami za Alpy — a w tem, powiada Plutarch, dał dowód wielkiego rozsądku. I gdzież autor wyczytał, że dopiero po Spartaku zaczynają ludy ośmielać się na nieśmiertelną? Namby się właśnie zdawało, że zupełnie działa się przeciwnie. Przed tą epoką ośmielali się niejedni na nieśmiertelną: Samniti n. p. i Gallowie, Hanibal i niewolnicy; ale po niej, i przez wiele wieków następnie, powaga i przewaga władzy rzymskiej nad ludami była silniejsza i większa niż kiedykolwiek, i *urbs* bezpiecznie i bezprzecznie rozkazywała *orbis*. W innem znowu miejscu, objaśniającem znane *panem et circenses*, czytamy: « jedyna żądza motochlu, żywionego kosztem patrycyuszów, dobierających się najwyższej władzy ilością stronników; » ale rzecz dzieje się za czasów cesarskich (w jakim wieku? tegośmy wprawdzie, mimo całego lokalnego kolorytu, nie potrafili odgadnąć); a za czasów cesarskich, patrycyusze już ilością stronników nie dobierali się do władzy, i troskę żywienia i ławienia motochlu zostawiali Imperatorom. Opis Rzymu nam opiewa, że « po cyrkach stoją obeliski, które w egipskiej czas niewoli, Izrael kował panom k'woli. » Izrael w ziemi Mizraim nie kował obelisków. Biblia tylko mówi że budował miasta (*arej m i s k e n o t h*, *urbs promtuarias*), że « ku gorzkości przywozili żywot ich robotami ciężkimi *gliny i cegły*, i wszelaką służbą, którą byli obciążani w robotach okolo ziemie »; o tak ciężkiej pracy, jaką szczególnie w Egipcie było wykowanie monolitów, nie byłby przemilczał biblijny historyk. Zresztą, kamienie te wydobywano w wyższym Egipcie; Izrael zaś zamie-

szkiwał niższy, który inszym zupełnie ulegał Faraonom. « Niech koło dziejów Chronos toczy, » woła dalej poeta. Chronos, czyli raczej Kronos (bo *chronos* nie jest żadnym nomen proprium i nie oznacza żadnego Boga) miał sierp lub klepsydrę, a w italsko-rzymskich przedstawieniach na głowie lub u nóg kulę: ale koła nigdy nie toczył. A kiedy następnie wieszcz dodawała mu jeszcze « jedno płótno wciąż przerabiać » dodając, że « przeciw wyżej czasu wzbici, poznamy jego *stare nici* (*sic!*) » to dziwnie znowu miesza Saturna z Parkami, a licency archeologicznej nie okupuje poetycznością ni obrazu ni wyrazów. Autor często w podobny i gorszy sposób wypada z obrazu i epoki. Robi to np. szczególne wrażenie, kiedy wśród ciągłych wspomnień o kwirytach, edylach i togach, wśród ciągłych *scilavus slavus* i *eheu*, słyszymy naraz « głosy w lewo, w prawo, *bravo! bravo!*... » i w ustach ludu rzymskiego spotykamy ten nowomodny wykrzyknik dyletantyzmu, którego źródłosłowa nawet nie ma w łacińskim języku...

Małoważne to są rzeczy — i też bardzo małą w gruncie do nich przywiązujemy wagę. Dowodzą one chyba tylko, że nawet dla poetów u nas teraz już *upłynął wiek złoty*... nie dowodzą nic przeciwko artystycznej i moralnej wartości utworu. Nierównie zatem ważniejsze i ciekawsze jest pytanie, jak swoje zadanie pojął i ukształcił nasz autor, i jaką myśl swą dziełem chciał wypowiedzieć dla obecnej chwili. Zastanawiamy się nad tem w naszym następnym przeglądzie.

KRONIKA.

Polacy, obecni w Londynie, zebrali się dnia 17 Listopada w domu Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski, dla obchodu żałobnej rocznicy zgonu ś. p. Lorda Dudley Stuarda, tego nieodżałowanego i aż do ostatniego tchnienia najwytrwalszego przyjaciela i obrońcy Polski.

Przewodniczący zgromadzeniu, major K. Szulczewski, w wyrazach żalem publicznym tchnących, przypomniał ową gorącą miłość, zupełne i niczem niezrażone poświęcenie się ś. p. Lorda Stuarda dla sprawy najniebezpieczniejszego, z narodów, a przeto i cały ogrom straty, jaką przez ten zgon zewsząd rażona Polska dotknięta została.

W końcu zgromadzenia, aby dowieść swego współczucia dla Anglii, udzielającej przytułku narodowym rozbitkom, zebrali skromną składkę aby ją dołączyć do ofiar, które ten kraj dziś niesie dla swoich współbraci tak srogo dotkniętych w Indiach. Śładka wyniosła 5 funtów i 5 szylingów.

— Warszawski korespondent *Czasu* mówi słów kilka zasługujących na uwagę o Akademii medycznej w Warszawie. Ukaz stanowiący tę Akademię był wypadkiem niespodziewanym, bo tyle przeciwności opierało się dobrej woli cesarza w tej mierze, iż nikt już nie miał nadziei, żeby wydała pożądaną skuteczną; dziś ta dobra wola cesarska napotyka wiele opieszałości i niedołęstwa w wykonaniu. Jest to tem smutniejszem, ile że młodzież krajowa « zgłodniała nauki » rzuciła się do niej z niezmiernym zapalem. W pierwszym tygodniu zapisało się do słuchania kursów stu siedemdziesięciu kilku uczniów, a obecnie przeszło dwiestu pilnie i chciwie słucha rozpoczętych wykładów. Samo wszakże miejsce, gdzie się nauki wykładają, pokazuje brak troskliwych i wczesnych przygotowań ze strony władzy. Mianowany przez cesarza prezydentem akademii Cycuryn jeszcze nie przybył z Kijowa; czy za jego przybyciem rzeczy pójdą lepiej, niewiadomo. Tymczasem zaś Komitet zarządzający akademią, zdaje się mało mieć względu na dogodność i pożytek słuchaczy. Chociaż otwarcie akademii miało miejsce 1^o października, ledwie dopiero od dni kilkunastu przeniesiono ją z ciasnego lokalu studyów farmaceutycznych na ulicy Jezuickiej, do gmachu niegdyś Towarzystwa Przyjaciół Nauk, z kądowną Loterya poszła w zamian objąć siedzisko farmaceutyki. Sala w tym gmachu jest wielka i piękna, ale we wszystkim widać niedostatek koniecznych potrzebnych urządzeń. Laboratorium chemiczne zastępuje stół niski, a gdy ławki dla uczniów są ustawione nie w amfiteatr, lecz na tymże poziomie,

siedzący w dalszych rzędach niemogą nawet widzieć, co się przy tym stole dzieje. Gabinet anatomiczny i inne zbiory przenoszą się bardzo powoli. Najcięższy jednak zarzut zwierzchności uczynić można, że nie umiała, czy nie starała się doboorem profesorów odpowiedzieć pięknym żądom i postanowieniom młodzieży. Nie szukając dalej, powołano nauczycieli z gimnazjum i kazano im zająć katedry akademii. Są między nimi ludzie, na których wybór padł szczęśliwie, ale nie wszyscy. Do najlepszych liczą się Aleksandrowicz i Lesiński. Pierwszy z nich wykłada zoologię i botanikę, drugi chemię. Obaj z przyrodzonego i nabytego usposobienia odpowiedni powołaniu. Lesiński odznacza się płynną wymową, Aleksandrowicz, chociaż tłumaczy się z mniejszą łatwością, ale jasno i dobitnie. Znajomością swego przedmiotu, nawet darem wykładu, mógłby stanąć obok nich profesor fizyki, Przysiański, gdyby na nieszczęście natura nie odmówiła mu jednego z koniecznych warunków — głosu. Czwartą z ważniejszych katedr, to jest katedrę anatomii, zajął sprowadzony z Kalisza Neugebauer. Był on jednym z celujących uczniów uniwersytetu wrocławskiego, i ma reputację człowieka gruntownie znającego swój przedmiot. Widocznie brak mu wprawy a może i zdolności do wykładu. Nie mówi, ale czyta, i mimo to grzeszy przeciw czystości języka polskiego. Uczony i znakomity jako pisarz, profesor mineralogii Zejszner, nie ma lepszego powodzenia niż to, które miał w Krakowie: prelekcyę jego pod każdym względem najmniej ożywione. — Korespondent wynurzyłszy takie zdania o wykładających kurs pierwszy, dodaje: « Co najważniejsza, że nie jeszcze nie słychać o wyborze profesorów, mających wykladać na kursie drugim. Każdy łatwo pojmie, że wczesny wybór jest konieczny. Jeśli rok bieżący upłynie na niczem, niepodobna będzie wymagać od profesorów niespodzianie powołanych, aby improwizowali z katedr, bo przecież wykład akademicki jest rzeczą, która potrzebuje przygotowania się i rozmyślu. »

— W Kronice Warszawskiej znajdujemy wiadomość wyjętą z *Dziennika ministerium oświecenia narodowego* Cesarstwa Rosyji, że dyrektor szkół gubernii sybirskiej, radca stanu Wiernikowski, ratanowany został d. 2 maja r. b. dyrektorem szkół gubernii charkowskiej, i zajmuje teraz posadę, którą p. Józef Korzeniowski zajmował przed osiedleniem się w Warszawie. Wiernikowski, rodem z Litwy, towarzysz i przyjaciel ś. p. Adama Mickiewicza, znany w literaturze naszej jako tłumacz Pindara, był razem z Kowalewskim, Kofakowskim, Jeżowskim, Czczotem i innymi, w wileńskim instytucie kandydatów do stanu nauczycielskiego, kiedy śledztwo prowadzone przez Nowosiłcowa zagarnęło ich wszystkich i rzuciło na wygnanie w głąb Rosyji. Napotykać to imię, po tylu latach wygnania, jakby z przepaści zatracenia, przychodzi na myśl, ile to było siły w tym pierwszym zastępie męczenników naszych, z których każdy prawie ścieżkę swoją w ciemnych stronach Polnoy oznaczył polyskiem światła.

— Czytaliśmy w *Czasie* z d. 18 b. m., zebrane szczegóły o losie naszych rodaków, którzy za udział w różnych ruchach politycznych od 1831 do 1848 r., byli pozasyłani już to do robot w kopalniach syberyjskich, już to na wygnanie do tamtejszych osad. Część ich, w skutek manifestu koronacyjnego, otrzymała pozwolenie albo powrotu do kraju, albo przeniesienia się na pewną jeszcze liczbę lat do gubernii środkowo rosyjskich. Otrzymującym pozwolenie powrotu, dano po 150 r. sr. na podróż. Połowa ich przybyła już do miejsc rodzinnych, reszta jest w drodze. Między innymi wrócił do Królestwa Piotr Wysocki, uwolniony z kopalni Nerczyńska, gdzie 26 lat pracował. Ponieważ przy odjeździe nie było mu wskazane szczególne miejsce pobytu, i rozkaz cesarski nie zawierał w tym względzie żadnego ściśnienia, zmierzał on prosto do Warszawy, spodziewając się znaleźć tam łatwiejszy sposób utrzymania siebie; ale władza miejscowa wysłała przeciw niemu urzędnika, który podał mu do podpisania deklaracyę, że nigdy do Warszawy nie przybędzie. Niektórzy wygnańcy powracają z uzbieranym dorobkiem, wynoszącym do 20 i 30 tysięcy zł. pol. Ci mianowicie, którzy byli skazani tylko do osad, mieli tam sposobność zajęcia się korzystnym zatrudnieniem. Najlepiej wychodzili posiadający specjalne usposobienie do przemysłu, lub zapas pieniężny do rozpoczęcia jakichkolwiek obrótów handlowych. Inni oddawali się łowiectwu, i utworzywszy między sobą spółki,

udawali się na kilkotygodniowe polowania, z których miewali niezły przychód do podziału. Latem, kiedy nie pora polować, otwiera się rybołówstwo. Najmniejszą zysku w tamtych stronach przynosi gospodarstwo rolnicze. Kilku z wygnańców naszych dorobiło się nawet znacznego majątku, między innymi Poklewski, który uzbierawszy nieco kapitału, a znając górnictwo, wszedł do spółki z właścicielem kopalni miedzi w małym Altaju. Spółka ta zaprowadziła później, pod przewodnictwem samego Poklewskiego, żeglugę parową na Obie i Irtyżu, która należy dziś do rzędu wielkich przedsięwzięć. Z liczby udarowanych wolnością przeniesienia się do środkowych guberni Rosyji, większa część nie chce opuszczać Syberyi. Wolą oni przepędzać resztę lat wygnania w miejscu gdzie się już obyli, niżeli iść w strony bliższe wprawdzie ojczyzny, ale zawsze obce a nieznanne.

— W czasie bytności Cesarza Aleksandra w Kijowie, obywatele podolscy przedstawili jemu, i obecnemu tamże ministrowi robot publicznych, generałowi Czewkinowi, projekt uregulowania koryta rzek Dniestru i Bohu, zniesienia w ich łożyskach przeszkód do żeglugi, urządzenia dogodnych przystani, i połączenia tych przystani z wnętrzem kraju drogami półszosowymi. Koszt wykonania tego zamiaru są małe w porównaniu do korzyści, jakie ztąd wynikłyby niezawodnie. Dla zebrania kapitału potrzebnego na te koszty, obywatele proponują rozłożenie dobrowolnego podatku ziemskiego. Gdyby projekt przyszedł do skutku, Dniestr i Boh stałyby się dla Podola i zachodniej Ukrainy dwiema arteryami, kędy najłatwiej i najtaniej spływałyoby zboże przeznaczone iść zagranicę, a nawzajem drzewo prowadzone od ujścia Dniepru lub z borów nad górnym Bohem, opatrzywałyoby części Ukraiiny i Podola cierpiące niedostatek jego; nadto wyroby leśne z okolic górnego Bohu byłyby spławiane na morze Czarne. Za projektem tym mówi uwaga, że poczyną on od tworzenia komunikacyi porządkiem naturalnym, jakim zresztą działo się to wszędzie w krajach Europy zachodniej. Najwłaściwiej jest skorzystać naprzód z dróg wodnych, które samo przyrodzenie nastęrcza, połączyć je drogami bitemi, a dopiero później myśleć o kolejach żelaznych; bo te bez poprzedniego urządzenia sieci komunikacyjnej, przechodząc tylko przez główne punkta kraju, mało byłyby użytecznymi pod względami nieodnoszącymi się do widoków strategicznych, lub wyłącznie rządowych.

Sprzedają się w Księgarni polskiej, 20 rue de Seine, świeżo wyszłe dzieła:

SŁOWNIK Polsko-Włoski i Włosko-Polski, 2 Tomy, gr. in-8° fr. 20.

ŚWIATYŃIA POKOJU, pana Adama Pellegrino, gr. in-8° velin. fr. 6.

INNE ŻYCIE, kilka chwil lepszych, poezye, in-16°, franków 1 c. 50.

PRZEGLĄD rzeczy polskich, in-8° fr. 1.

Tamże nabyć można:

JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA, PODRÓŻE HISTORYCZNE PO ZIEMIACH POLSKICH MIĘDZY ROKIEM 1811 A 1828 OD BYTE, gr. in-8° Cena fr. 12.

« **KREWNI** » POWIEŚĆ PANA JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO. RECENZYA. (Przedruk z *Wiadomości Polskich*). Cena franków 2.

SZTUKA POLSKA. (Przedruk z *Wiadomości Polskich*). Cena fr. 2.

TADEUSZ PAPRZYCKI, rodem z Winiar, pod Gnieznem (lub ktokolwiek mający o nim wiadomość), zechce bez zwłoki zgłosić się, w interesie własnym, à M. Bonkowski Interprète-Traducteur juré, 247, rue St-Honoré, à Paris.

Redaktor, Felix WROTNOWSKI.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2